LUCJAN BARTOSIEWICZ

MOJA DROGA NA ZACHÓD

Pochodzę z chłopskiej rodziny, od dawna mieszkającej na skraju puszczy kozienickiej i blisko wsi Czarnolas, w której mieszkał znakomity Polak Jan Kochanowski. Urodziłem się w 1935 roku, równo cztery lata przed wybuchem II wojny światowej.

Niewiele pozostało w mojej pamięci wydarzeń z września 1939 roku. Byłem wtedy zbyt jeszcze małym chłopcem. Dwie sceny jednyk utrwaliły się w małej wówczas łepetynce. Pierwszą z nich, było ogólne poruszenie w domu i płacz, bowiem ojciec oczekując na powszechną mobilizację, szykował się do pójścia na frOnt. Pamiętam, że mama upiekła wtedy smaczne i słodkie ciasto, które z rodzeństwem ukradkiem podkradaliśmy. Pewnie wtedy nie mieliśmy częstej okazji, aby skosztować takich smakołyków, czy łakoci. Drugą sceną, był wspólny obiad z dwoma żołnierzami, którzy przyszli do naszego domu. Jadłem wówczas łyżką wojskową, jednego z nich. Podobała mi się ta łyżka, bo była żółta, pozostała w domu po odejściu żołnierzy. Często była powodem awantur pomiędzy rodzeństwem, bo każdy chciał nią jeść. Pewnie my malcy, chociaż troszeczkę i na chwilę być żołnierzami. Jedząc nią czułem zawsze posmak goryczy, lecz wtedy nie znałem przyczyny tego smaku. Z biegiem czasu wytłumaczyłem sobie tą gorycz. Nie w tym jednak rzecz. Zresztą, los polskiego żołnierza i całego polskiego narodu był tylko goryczą. Hitlerowcy zabijali ludzi niszczyli i palili ich dobytek. O tych faktach miałem okazję w okresie późniejszym przekonać się na własnej skórze, jako świadek drugiej okrutnej wojny światowej. I wielokrotnie się przekonałem! Później zgiełk wojenny przycichł, bo wydarzenia toczyły się zdala od mojej wsi, bałem się zresztą zawsze-jak i wszyscy-granatowych żandarmów. Znane były już wówczas wszystkim okrucieństwo najeźdźcy: łapanki, zbiorowe wywożenie ludzi. Głośno było też o dzieciach z zamojszczyzny. Z tego też powodu, strach potęgował się z każdym następnym dniem. Żyliśmy ciągle chwilą wychekiwania i niepewności-kiedy... kiedy... kiedy przyjdą granatowi i podpalą nasz dom...-oczekiwanie, jest straszną rzeczą.

Z czasem uświadomiłem sobie zasadność tej bojaźni, gdy coraz częściej byłem świadkiem walk partyzanckich z żandarmami hitlerowskimi

Zabili oni wielu mężczyzn i kobiet, nie gardzili i śmiercią niewinnych dzieci-hitlerowcy- znajomych, krewnych i moich rodziców. Wiele osób zostało spalonych żywcem za to, że walczyli o wolność, lub pomagali walczącym o nasz wspólny Dom.

Odwiedzam często swoje rodzinne strony i zbiorowe mogiły ludzi tej ziemi. Jest ich dużo...bardzo dużo, dużo jest znajomych nazwisk wrytych na kamiennych tablicach...! Byli to chłopcy i dziewczęta kozienickiej puszczy, lasów janowskich k/ Puław i innej bliskiej mojej rodzinnej wsi, miejscowości !!!

W roku 1942, rozpocząłem naukę w szkole powszechnej, bo taka była wówczas nazwa. Nosiłem drewniany tornister pospolicie zwany "deką", choć nie wiem dlaczego. Był to rodzaj drewnianej skrzynki z dekielkiem przymocowanym na dwóch skórzanych paskach. Zabawnie to wszystko wyglądało, gdy dzieciarnia wybiegła po skończonej lekcji ze szkoły, a z ich tornistrów wydobywała się nieopisana "muzyka" skaczących w skrzyneczce piórników, zeszytów pełnych kleksów po atramencie. Nie zawsze było tak gwarnie i radosnie.

W dwa lata później, to jest w roku 1944, przygotowywałem się do pierwszej Komunii Świętej. Wiosną tego roku, ubrany chyba w granatowy garniturek i białą koszulkę z wyłożonym kołnierzykiem, paradnie konikiem pojechałem z rodzicami i starszym rodzeństwem do kościoła w Oleksowie. Dojeżdżając do kościoła, cała radość prysła, gdyż jeden z księży uprzedził ojca, by szybko zawracał, bo Niemcy łapią mężczyzn i zabierają konie. W kościele zostałem z matką, a ksiądz udzielał komunii każdemu z osobna, tak jak w zupełnej konspiracji.
Do domu wracaliśmy pieszo, a do pokonania mieliśmy odległość 10-ciu kilometrów. Szliśmy przez pola, lasy i zagajniki, bo Niemcy byli na wszystkich drogach. Nie miałem-jak to dzisiaj bywa-przyjęcia komunijnego, ni prezentów, ni słodyczy. Miałem natomiast strach i wielką obawę-co będzie gdy do nas przyjdą Niemcy?
Całe szczęście, że tego dnia nie przyszli, ale nie zapomnieli i przyszli sukinsyny w sierpniu 1944 roku, do mojej wsi.
Wypędzili nas wszystkich z domów, do stodół i szop. Było bardzo dużo ludzi, bo i wysiedleńcy z innych wiosek. Przybycie Niemców do wioski, poprzedziła potężna bitwa powietrzno lądowa stoczona-jak później się dowiedzieliśmy-pomiędzy lotnictwem i wojskami radzieckimi, a jednostkami niemieckimi. Spłonęła wówczas doszczętnie wieś Markowola, a w kilka dni później w takich samych okolicznościach, spłonęła moja wioska Mieścisko. Z 28 gospodarstw, zostało tylko 3 domy i stodoła, a poza tym kikuty domowych kominów. Nie zapomnę tego obrazu. Ten żar czuję jeszcze dzisiaj, gdy z małą siostrą Zosią/dziś już nie żyjącą/, którą niosłem na własnych plecach, uciekałem do lasu, bo tam był mój ojciec i dwóch braci.

Ci do, których uciekaliśmy, byli u partyzantów z Batalionów Chłopskich. W tym czasie przebywała w lesie również i matka, która zaniosła im jedzenie. Można sobie wyobrazić tą rozpacz, gdy mama wróciła na miejsce pożaru i nie zastała mnie i mojej siostry-dwojga najmłodszych dzieci, w wieku cztery 9 dziewięć lat. Przeżyła kolejną okropność. Mama znalazła nas na drugi dzień i pod wieczór z lasu wróciliśmy na pogorzelisko. Tliły się jeszcze resztki naszych zabudowań i dobytek wieloletniego ciężkiego dorobku moich rodziców i dziadków.

1 września 1944 roku nie usłyszałem szkolnego dzwonka. Nie usłyszeli go także i moi koledzy, bo w tych warunkach szkoła nie mogła prowadzić zajęć lekcyjnych.

We wrześniu 1944 roku, wysiedlono nas do innej wsi. Nie wiedziałem, że za Wisłą w lubelskim jest już prawdziwa Polska. Pewnie nie wiedzieli i moi rodzice, może się tylko domyślali, że coś się zmienia.

Sytuacja zmieniała się z dnia na dzień, o czym przekonaliśmy się w styczniu 1945 roku, gdy ruszyła ofensywa z nad Wisły i gdy wkroczyły wojska radzieckie i polskie na naszą ojczystą ziemię.

Jak bardzo się wszyscy wówczas cieszyli! Tych chwil także nie można lub trudno jest opisać, radość nie miała granic. Szczególną wymowę miał powrót na swój rodzinny pogorzeliskowy plac, budowa drewnianej i prowizorycznej chatki, która służyła mej matce do 9 sierpnia 1983 roku, a mnie i mojemu rodzeństwu za nasz dom - nasz prawdziwy i niepowtarzalny. Wiele różnych, mniej lub bardziej ważnych zatarło się w pamięci i teraz trzeba się dobrze wysilić, aby przywołać z pamięci zatarte obrazy, lub wywiane przez wiatr szczępy resztki spalenizny, czy przeznaczone na opał resztki chatki. Takie, czy inne wspomienia jednak pozostały i tą drobinkę teraz należy szanować.

Edukację w szkole podstawowejrozpecząłem ponownie w listopadzie 1945 roku. Za ławkę szkolną, służyło wówczas własne kolano a czasami jako luksus, parapet okienny. Nie wszystkie dzieci miały zeszyty-pisaliśmy na przygodnie znalezionych skrawkach papieru.
Z czasem sytuacja polepszała się, ale do końca tej klasy pisałem piórem maczanym w atramencie.

9 października 1947 rOku, w rocznicę moich urodzin, spotkało moją rodzinę zmartwienie bowiem zmarł mój ojciec. Był jeszcze młodym człowiekiem liczącym niespełna 47 lat. Przyczyny tak szybkiej-w młodym wieku-śmierci nie trzeba szukać daleko, bo nie zatarły się nam świeże blizny wojenne, a wojna była tą przyczyną, która zabrała nam ojca. Od śmierci ojca, mną i moim rodzeństwem opiekowała się moja mama, która miała wiele obowiązków, a dopilnowanie sześciorga dzieci nie jest sprawą łatwą. Miałem czterech starszych braci i jedną młodszą siostrę.

W roku 1950, na własną rękę i bez wiedz, zgody mamy, wystarałem się o przyjęcie do szkoły średniej. Uczęszczałem do technikum chemicznego, na wydział mechaniczny w Sławięcicach, województwo opolskie. Było to po reformie szkolnej i technikum było 4-ro letnie, tak więc po ukończeniu szkoły byłem już technikiem, a nie absolwentem gimnazium. Technikum to do tej pory nosiło nazwę Młodzieżowy Ośrodek Szkoleniowy. Byłs to duża szkoła średnia na wyzwolonych terenach, które po latach okupacji wróciły do macierzy, jako prastare ziemie polskie.

Pierwszy dyrektor wspomnianego już technikum-mgr Sozański, napisał hymn, który codziennie rano i po skończeniu zajęć lekcyjnych, na apelu braci szkolnej był śpiewany. Nie pamiętam całego tekstu hymnu, a jedynie dalsze jego fragmenty.

"... Z dumy narodu z gruzów powstały.
Kest i zostanie nasz pierwszy MOS.
Ta szkoła życia i mnót skarbnica,
I pierwszych orląt największy lot.
Ta kuźnia pracy co świat zachwyca,
Jednocy serca w potężny splot..."

A więc i tutaj troszeczkę refleksji, która sama napływa człowiekowi przy wspomnieniach tamtych młodych lat.

W tatach czterdziestych, ziemia polska często jeszcze spływała krwi: W mojej szkole jeszcze często uczniami byli różni ludzie, gdy ja miałem lat 15, inni uczniowie nawet w mojej klasie mieli po 22-23 lata. A byli i tacy, co mieli 28 i 30 lat. Byli moimi kolegami szkolnymi i żołnierze u nad Oki i armii Andersa.

Przed rokiem 1950-tym w szkole istniała zorganizowana grupa ORMO, wyposażona w broń dla własnej obrony i dla obrony uczniów naszej szkoły.

Mimo to, w zimową noc roku 1948, zaginęło dwóch uczniów:Cimert i Flemingpodczas, gdy pełnili nocą służbę-zginęli na warcie z ręki faszysty.

Po dwóch latach-w roku 1952-własnymi rękoma zbudowaliśmy im pomnik. W czasie odsłonięcia tegoż pomnika, ich matki rozpaczały, mocno płakały, bo przywołano na tej uroczystości pamięć ich synów, którzy oddali swe życie za naszą wolność i bezpieczną naukę. Pomnik ten stoi po dzień dzisiejszy, nad kanałem gliwickim-w parku, który kiedyś był własnością niemieckiego księcia Hoenlec. Wówczas stały jeszcze ruiny jego pałacu-dzisiąj już pewnie nie istnieją i te ruiny. Czas zaciera wszyszkie rzeczy marerialne, lecz pamięci ludzkiej nie zdoła tak szybko zatrzeć.

Szkołę średnią rozpocząłem w starym budynku, a internaty jeszcze nie miały szyb w oknach,

a i drzwi jeśli były takowe, zamykaliśmy podpierając je kijam lub kawałkiem deski. Umywalnią naszą latem i zimą, był kran z zimną wodą, znajdujący się na podwórku lub po prostu wcale wody nie było. Wówczas myjnią naszą-jak można powiedzieć- był kanał gliwicki.

Mimo tat wielkiej prowizorki życie w tamtych latach, zaliczam te momenty do pięknych chwil mojego życia, bo były pełne radości, śpiewu i młodej werwy. Śpiewaliśmy wówczas dużo i głośno, bo nareszcie było nam wolno śpiewać i bawić się, jak i uczyć się spokojnie.

Szkołę kończyłem już w nowym budynku i w nowym internacie. Te zaplecze techniczne dla obradzającej się oświaty polskiej, zbudowaliśmy my-my Polacy. Ja też bołożyłem swoim rękoma symboliczną cegiełkę. Wielecgodzin pracy społecznej przepracowałem na dobro powstającej szkoły, nie oszczędzałem się, bo miałem wytyczony cel swojego dalszego życia. Pracował ze mną i uczył się w tej szkole, mój kolega Stasio Skorupa, który mieszka obecnie w Barlinku.

Opuściłem mury szkoły ze świadectwem jej ukończenia, w czerwcu 1954 roku, mając w ręku dyplom technika-mechahika i nakazem pracy w ręku. Byłem wtedy, po raz pierwszy w życiu naprawdę szczęśliwy. Ja syn wiejskiego chłopa, z dyplomem technika i nakazem pracy!

Z takim bagażem ruszyłem w nieznane, przyjeżdżając na tereny Ziem Odzyskanych, a konkretnie na teren województwa szczecińskiego, dp Gryfina. Mawiano wówczas na te tereny, dziki zachód.

Gdy po raz ostatni wstałem ze szkolnej ławki, aby w niej już więcej nie siadać, poczułem, że jestem już mężczyną dojrzałym. Uczucie to miałam silniejsze niż dzisiaj po 30 latach przepracowanych zawodowo.

30 sierpnia 1954 roku, żegnałem się z matką, aby wyjechać na dziki zachód-jak mówiono w centrali. Prócz dokumentów, które wyżej wspomniałem, jako bagaż miałem pustą walizkę. Zawartość jej stanowiły jedynie: dwie koszule i para skarpet. Wyjeżdżałem daleko. bo miałem do pokonania 600 kilometrową trasę, która o tyle samo kilometrów oddalała mnie od domu rodzinnego i matki, której łzy kapały na moje ramię w czasie pożegnania. Na drogę, dostałem od mamy 300 złotych i słowa "... synu, masz i nie spodziewaj się już więcej ode mnie pomocy..." Nie podziękowałem mamie nawet, bo nie mogłem-w gardle poczułem na nowo gorycz tej żołnierskiej żółtej łyżki. Gorycz ta, była jednak o wiele silniejsza, bo nie pozwoliła mi nawet wykształsić słowa - dziękuję Ci Mamo! Nie miałem etedy i nigdy później do matki żalu. Powiedziała mi przecież serdeczną prawdę, bo więcej pomagać mi już nie mogła, dała mi to na co stać ją było w tym czasie.

24 września 1951 roku, nasze zabudowania i dobytek wctakim trudzie zbudowane po zniszczeniach wojennych, padły ponownie pastwą pożaru.

Mama została znów nędzarką, bo zostało jej tylko mieszkanko-wyżej wspomniana chatka, która nas wszystkich zawsze przyciągała.
Od tej pory gospodarowanie przejmuje najstarszy mól brat Kazimierz. Z wielkim poświęceniem się, zabiera się do odbudowy ijcowizny.
My pozostali, to znaczy Henryk, Czesław, Bronisław i ja, jak i siostra Zofja, rozjechaliśmy się po świecie. Dzisiaj każdy z nas ma swoją rodzinę, dzieci a już i wnuki są.

Pracę zawodową rozpocząłem 1 września 1954 roku w Fabryce Suchej Destylacji Drewna w Gryfinie. Była to śmierdząca fabryka, zresztą tak bywa w chemii. Pracowałem 6.5 roku. Często wracam wspomnieniami do tamtych lat, do fabryki i Gryfina, bo tam właśnie nauczyłem się pracować zawodowo i społecznie. Pracowałem w organizacji młodzieżowej ZMP, jako przewodniczący. Tu spędzałem młodość i organizowałem zabawy. Tu założyłem w roku 1957 własną rodzinę i tu razem z żoną Teresą, zorganizowałem koło ZMS-u po niechlubnym rozwiązaniu Związku Młodzieży Polskiej. Skrzywdzono nas wówczas, bo ZMP to były naprawdę silna Polska organizacja młodzieżowa.
Tą organizację było widać-" samochwała w kącie stała", można powiedzieć Ale taka była prawda i nic nie zmienię w historii, która odeszła w zapomnienie, przecież nie ja jeden tworzyłem organizację i nie sam stanowiłem i decydowałem o jej autentycznych, pełnych młodzieńczego animuszu formach działania. I teraz, kiedy po latach przyszło mi wspomnieć to co było i minęło, nie zmienię przekonania, bo musiałbym zmienić całą prawdziwą historię tych wspomnień, które tutaj opisuję. Tak było...-niestety!
W gryfinie urodziły mi się dzieci: dwóch synów Dariusz, który ukończył technikum o specjalności technika-elektormika, a pracuje obecnie w Zakładach Urządzeń Okrętowych "Bomet", Mirosław, który skończył technikum budowlane i pracuje jako rzemieślnik budowlany.

Odwiedzam Gryfino i ludzi znajomych. Robię to z prawdziwą przyjemnością, bo i tam zostawiłem cząstkę swojego życia.
Dzisiaj Gryfino jest pięknym miastem, rozbudowało się i ludzie tam mieszkający dbają o miasto. Ja to miast pamiętam ze stert gruzów zalegających ulice i place, które były sóuścizną powojenną.
Osobiście odgruzowywałem to miasteczko, pracę tą wykonywałem ze swoimi koleżankami i kolegami z ZMP. W nagrodę za tą pracę, organizowaliśmy wyjazdy do kina, oczywiście na swój koszt i na przyczepie traktorowej, którą ciągnął ciągnik-traktor-Steyer. Często pchaliśmy tą przyczepę, bo nasz Steyer często zamieniał się w narowanego konia, a wtedy nawet siarczyste przekleństwa mu nie pomagały. Ten Steyer służył nam do wyjazdów po powiecie gryfińskim z zespołem artystycznym.
W skeczu, jako artysta amator wykrzykiwałem do jednej panienki-mawiasem mówiąc, smaliłem do niej cholewki-"...żmiję naxwłasnej piersi

wychowałem...". No i wykrakałem tym krzykiem...! Od ponad ćwierć wieku ona mnie "choduje". Rety... rety, jak to dawno było! Pewnie w tym miejscu nikt się nie odważy powiedzieć-"... samochwała w kącie stała...". Zresztą nie muszę się chwalić, jest to po prostu widać, tego też nie mogę zmienić. Gryfino lubiałem, bo mieszkałem nad wodą-Regalicą.

Do Barlinka przyjechałem 1-go czerwca 1961 roku. Wybrałem to miasto bo ma ono piękną wodę. Byłem i jestem zamiłowanym wodniakiem. Zaraziłem tą wodną chorobą żonę i dzieci. Pływaliśmy zawsze po wodzie z dziećmi jeszcze wtedy, gdy one chodzić nie umiały.
W młodości marzyłem o pływaniu na dużej wodzie, lecz mi to nie wyszło. Nie udało się też i mojemu najstarszemu synowi Darkowi. Zresztą, jest jeszcze młody i ma realne szynse. Marzenia moje realizuje najmłodszy syn Cezary, który jest obecnie studentem 3-go roku Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie. On już zaliczył dużą wodę oceanu Atlantyckiego i Bałtyku. Wszyscy moi chłopcy są żeglażami, a rzemiosła tego nauczyli się w Barlinku, na naszym jeziorze. Tajników tego fachu, uczyli ich Wilczyński Marek Andrzej, Bindas Antoni i Sandman Jerzy. Zresztą, żyłkę żeglarską mieli już pd urodzenia.

No, zagalopowałem się nieco w marzenia o żeglarstwie, a czas najwyższy jest, aby powspomnmać troszeczkę i o samym Barlinku.

Pracę zawodową po przyjeździe do Barlinka, rozpocząłem w Zakładach Urządzeń Okrętowych "Bomet" od 2 czerwca 1961 roku.
Oczywiście w obecnym zakładzie nr 2, przy ulicy Fabrycznej, tam bowiem wówczas mieściła się siedziba dyrekcji. Zakład zatrudniał wówczas około 420 osób.Nie uwierzy dzisiaj pewnie niejeden młody pracowni tego zakładu, że obecne budynki remizy strażackiej, trafostacja, portiernia, magazyn stali, centralna krajalnia materiałów, stały na bagnach zasypanych odpadami z odlewni. W roku 1961, cały magazyn stali mieścił się przed rampą magazynu na powierzchni nie większej nżż 150 m^2. Jedynymi środkami transportu były dwa motowozy wąskotorowe, jeżdżące od zakładu do stacji kolejowej, mniej więcej od miejsca gdzie na ulicy Fabrycznej ułożony jest chodnik dla pieszych. Zabawnie wyglądały te pojazdy, zwłaszcza zimą, gdy motorniczy szedł przed maszyną z wiadrem piachu posypując szyny, by ta bestia mogła wyleźć pod górkę. Wyłaziła ona nieraz z szyn i na dobre waliła po zamarzniętej ziemi. Motorniczymi byli Stanisław i Cezary Cherążyczewscy oraz Iwański. Namęczyli się nieraz, by przy pomocy łomów i drągów sprowadzić ja tam gdzie trzeba. Transport wewnętrzny, obsługiwany był przez taczki na żelaznych kółkach, pchanych przez obecnego emetyta Władysława Błaszczyka. Jakże dziękował mi ten człowiek, gdy nakazałem zakupić taczki dwukołowe na kołach ogumowanych. Jego wysiłek stał się o połowę mniejszy.

mniejszy. Czy dzisiaj jego wnuczkowie w to uwierzą?

Postęp jednak szedł do ~~przodu~~ przodu. Taczki zostały zastąpione wózkami platformowymi, a później i widłowymi. Wzrastały zresztą potrzeb i świadomość załogi, co było przyczynkiem konieczności uruchomienia zakładu w Gedkowie, wybudowanie nowego zakładu Nr 1 w Barlinku i wreszcie uruchomienie zakładu Nr 4 w Więcławiu. Dzisiaj trudno jest doliczyć się ilu mamy ludzi z wykształceniem wyższym. Jak pamiętam, w roku 1961 było ich siedmiu to jest:

Płaneta Mieczysław
Sługocki Jan
Paśko Czesław
Narbut Jan
Król Stefan
Burak Leszek
Kuklinowski Bogusław

Są to fragmenty wspomnień, o zdarzeniach zakładu. Myślę, że ktoś pisze dokładniejszą kronikę i dlatego ustępuję tu miejsca.

W ciągu swojej "służby" zawodowej w Z.U.O. "Bomet", odpowiedzialny byłem za stan zabezpieczenia wszystkich czterech zakładów od strony bezpieczeństwa i higieny pracy. Nie było to łatwe zadanie, bo trzeba było myślec w czasie wykonywania obowiązków służbowych za siebie i za innych. Dzisiaj, kiedy już jestem na rencie, nie z mniejszym uczuciem odpowiedzialności wspominam tamte czasy-jeśli tak można powiedzieć. Może kiedyś, w chwilach wolnego czasu usiądę sobie w ciepłym kąciku, przy stoliku i białej kartce i zacznę notować bardziej szczegółowe wspomnienia. Lecz do takich wspomnień, też trzeba mieć dużą odporność nerwową i chęć pogrzebania w pożółkłych kartach pamięciowej historii. Może.... może kiedyś... może kiedyś zabierę się za temat, który jest ciekawy i warty zarejestrowania, aby synowie i wnuczkowie mieli te obrazy przed oczyma choć spisane czarnym drukiem na białym papierze.

"WODNIAK"
LUCJAN BARTOSIEWICZ